

AGATA ŁUKA

RZYM JAKO JEDEN Z GŁÓWNYCH CELÓW SIEDEMNASTO-
I OSIEMNASTOWIECZNEGO GRAND TOUR,
CZYLI ŚLADAMI PIERWSZYCH „BADACZY”
PO ANTYCZNYCH ZABYTKACH WIECZNEGO MIASTA

Sprawozdanie z objazdu naukowego
Rzym, 20-27 lipca 2011 roku

Teodor Mommsen po swojej pierwszej wyprawie do Rzymu utrzymywał, że miasto ma niewiele wspólnego z przedwieczną Urbs Aeterna, a jego mieszkańcy nijak nie mogą być potomkami dawnych Rzymian; odmawiał im nawet miana „rzymlanie”, nadając im określenie „Włosi z Rzymu”. Uznał jednak, że Rzym wprawdzie początkowo nie rzuca na kolana, ale wiele zyskuje z każdą kolejną podróżą. Czy to prawda, postanowiliśmy przekonać się sami, wyruszając na tygodniowy objazd naukowy. Uczestnicy objazdu to: mgr Aleksandra Krąże, kierownik projektu (Instytut Historii Sztuki KUL, Instytut Filologii Klasycznej KUL, Instytut Filologii Romańskiej KUL), mgr Anna Kołtuńska (Instytut Filologii Klasycznej KUL), mgr Maria Kołtuńska (Instytut Dziennikarstwa i Komunikowania Społecznego KUL), dr Agata Łuka (Instytut Filologii Klasycznej KUL), mgr Grażyna Łabęcka (Instytut Filologii Klasycznej KUL), dr Ewa Osek (Instytut Filologii Klasycznej KUL), dr Maciej Jońca (Instytut Prawa KUL), Arkadiusz Kołodziej (Koło Starożytnicze Studentów KUL).

Pierwszego dnia, zaraz po przyjeździe i szybkiej kawie, wyruszamy na krótkie popołudniowe zwiedzanie. To dopiero początek wyprawy, a już narzekamy na upał. W rzymskiej bazylice San Lorenzo uczy nas pokory św. Wawrzyniec, umęczony na rozpalonej kracie. Spacerkiem idziemy w kierunku stacji Termini, w pobliżu której mieszkamy. Dzielnica jest dość nieciekawa pod względem architektonicznym. Do-

brze, że przynajmniej majestatyczne ruiny świątyni Minerwy ratują honor tej okolicy, już z daleka przyciągając wzrok i... bezdomne koty, które tu znalazły schronienie, karmione niewidzialną ręką jakiegoś poczciwego kociarza czy kociary. Mijamy je drugiego dnia rano, wylegujące się w najlepsze w cieniu na trawie stanowiącej obecnie świątynny dywan. My nie mamy tak dobrze, po obu stronach ulicy praży słońce, co jednak ma swoje dobre strony, bo spragnieni cienia błyskawicznie docieramy do bazyliki Santa Maria Maggiore, znanej też jako bazylika Santa Maria della Neve. Z rozkoszą wyobrażamy sobie cudownie spadły sierpniowy śnieg, na którym papież Liberiusz narysował plan świątyni i na długo znikamy w jej chłodnym wnętrzu. Następnie zwiedzamy bazylikę Santa Prassede i Santa Pudenziana. W przeciwieństwie do św. Praksedy św. Pudencjana jest prawdopodobnie postacią fikcyjną, niemniej obie są znane jako córki św. Pudensa, skazane na śmierć za pochowanie męczenników chrześcijańskich wbrew rzymskim zakazom. Urokliwą Via Cavour ruszamy w dalszą drogę. Na schodach prowadzących w górę, do kolejnego interesującego nas obiektu, niby od niechcenia gra sobie akordeonista, którego szalony walc zagrzewa nas do żwawego pokonania stromizny i odprowadza do bazyliki San Pietro in Vincoli, z łańcuchami, którymi według legendy skuto św. Piotra, i ze słynnym „rogatym” Mojżeszem Michała Anioła. Albumy zazwyczaj przedstawiają go jako siedzącego samotnie, podczas gdy tu biblijny patriarcha cieszy się towarzystwem Racheli i Lei. Wychodząc zatrzymujemy się przy płaskorzeźbie z przepięknym przedstawieniem śmierci jako kościotrupa; zdaje się ona filuternie uśmiechać przypominając: *memento mori*. W nastroju zadumy wstępujemy do dawnej świątyni Romulusa, obecnie bazyliki świętych Kosmy i Damiana.

A teraz pora na Rzym przedchrześcijański – udajemy się na Forum Romanum. Spacerujemy, rozmawiając i wymieniając wiadomości o znajdujących się tu obiektach. Mijając łuk Tytusa, patrzymy na przedstawione tam przesławne judaika: złotą menorę, dwie srebrne trąbki i złoty stół na chleby pokładne. Uczeni do dziś wiodą spór o to, czy skarby te zostały rzeczywiście zrabowane przez Rzymian ze Świątyni Jerozolimskiej i czy forma ich przedstawienia odpowiada prawdzie. No cóż, nie my jesteśmy poszukiwaczami zaginionej Arki. Nieco zmęczeni wkraczamy na Palatyn, pokonując jednak trudy tej zakurzonej trasy z godnością, jak boscy cesarze. Po długich dysputach tam, na Forum, milczymy. Tylko cykady głośno dają znać o swoim istnieniu. A teraz w dół i do Amfiteatru Flawiuszów, powszechnie znanego jako Koloseum. Obowiązkowo wystawa dotycząca tego, którego ogromny posąg przypuszczalnie dał nazwę obiektowi, czyli Nerona. Posąg znajdował się w pobliżu Domus Aurea, którą podziwiamy tylko z daleka, bo od kilku lat jest zamknięta dla zwiedzających. A oto i Fora Cesarskie. Zaniedbane i niejako zapomniane (nie przez archeologów), z wkomponowaną w nie współczesną miejską ulicą, wciąż robią wrażenie. Pamiętamy sławną świątynię Venus Genetrix na Forum Cezara, którą Juliusz ufundował przed bitwą pod Farsalos; niewiele z niej zostało. A na Forum Augusta znajdowała się świątynia Marsa Ultora, wystawiona z okazji Oktawianowej zemsty na zabójcach Ce-

zara w bitwie pod Filippi oraz odzyskania rzymskich sztandarów legionowych, które za Krassusa wpadły w ręce Partów. Na Forum Wespazjana ktoś przypomniał jego rzekome ostatnie słowa: „Oj, źle – czuję, że zostaję bogiem.” W ruinach znanego jako Colonnacce portyku na Forum Nerwy panowie usiłują odszukać postać Arachne na atycie z reliefami ilustrującymi mity o Minervie i porównać z rzeczywistością umieszczone na fryzie sceny z życia kobiet. Na paniach robi wrażenie zwłaszcza Forum Trajana, z imponującym półkolem hal targowych. Współczesne galerie handlowe mogą się schować! Ale stojący nieco dalej Trajan zdaje się grozić swym posagowym palcem, przestrzegając przed zakupowym szałem, więc idziemy zerknąć na jego kolumnę. Jeszcze tylko jedno nostalgiczne spojrzenie w stronę Forum Romanum i można odejść z poetycznym westchnieniem: *Ibam forte Via Sacra...*

Mijamy Piazza Venezia, podziwiamy Altare della Patria i już myślimy, co nas czeka na końcu Via del Corso. Jeżeli ktoś lubi się snobować na bywalców dzielnic tak zwanych ekskluzywnych sklepów, musi koniecznie odwiedzić tę ulicę. My jednak nie jesteśmy tu z tak niskich pobudek; to po prostu najbliższa droga do fontanny di Trevi. Przesądni wrzucają monety, który to gest rzekomo zapewnia powrót w to miejsce, podczas gdy walczący z zabobonem poprzestają na przypatrywaniu się arcydziełu rzeźby i architektury, niejako wyrastającemu jak spod ziemi w otoczeniu zaniedbanych kamienic, stanowiących dość nieciekawe, a nawet przykre dla oka tło. Trudno sobie wyobrazić ten obskurny plac bez wspaniałej kompozycji, której obecna postać jako efekt wysiłków twórczych kilku rzeźbiarzy powstawała przez ponad czterdzieści lat, nie uwzględniając stuletniej przerwy w pracach nad jej budową. Wiatr porywa kropelki wody i łaskawie zwilża nam twarze, ruszamy więc rześko ku Panteonowi, budzącemu podziw dla poziomu antycznych technik budowlanych. Zastanawiamy się, w jaki sposób udało się przeprowadzić operację położenia tak ogromnej murowanej kopuły. Miło zostawić za drzwiami lipcowy skwar i przechadzać się w chłodzie tej monumentalnej rotundy. Przez oculus widać niebo, jakby u szczytu kopuły wkręcono ogromną niebieską żarówkę. Pozbawiony wielu dawnych ozdób Panteon zasila wyobraźnię zwiedzających. Ciekawe, co mogły przedstawiać brązowe dekoracje usunięte z fasady portyku przez papieża Urbana VIII. Pewne jest jedno – ogołocona fasada stanowi dość żałosny widok. No cóż, *quod non fecerunt barbari, fecerunt Barberini*. Nieopodal znajduje się kościół Santa Maria Sopra Minerva. Jako jedna z licznych tutaj świątyń niezniszczonych z racji swej „pogańskości”, ale zaadaptowanych na kościół chrześcijański, pozostałaby pewnie dawna świątynia Minervy kolejnym zachwycającym obiektem sztuki sakralnej, jako i miejscem głębokich przeżyć duchowych, gdyby nie oryginalne, jak na nasze przyzwyczajenia, wizerunki po obu stronach ołtarza głównego. Jezus Chrystus dłuta Michała Anioła i św. Jan Chrzciciel, którego dla równowagi „dorzeźbił” już w XIX wieku Giuseppe Obici, zostali ukazani na wzór przedstawień antycznych herosów, a więc niemal nago, choć z szacunkiem dla godności przedstawianych Osób. Wizja artystów nie dziwi jednak tych, którzy odebrali gruntowne wykształcenie humanistyczne. Należy pamiętać, że Michał Anioł

tworzył w czasach, kiedy kulturowi spadkobiercy antyku, opisując zmartwychwstanie Chrystusa, ukazywali Go jako herosa wychodzącego z czeluści Hadesu. A poproszony o dopełnienie kompozycji Obici nie miał po prostu innego wyjścia. Świątynię opuszczamy niechętnie, tak wiele tu wspaniałości, ale musimy się pośpieszyć.

Dosłownie przed minutą zamknięto kościół Santa Maria della Vittoria, no i nie zdążyliśmy na ekstazę św. Teresy. Ale skoro zostało po Berninim tyle przeróżnych dzieł, idziemy się pocieszyć na Plac Hiszpański, gdzie przecież znajduje się jedna z wielu jego fontann. Panowie wprawdzie poddają nam pomysł przeżycia ekstazy w pobliskim sklepie z kosmetykami, ale tym razem będziemy twarde. Na Plac Hiszpański! Ole! I oto naszym oczom ukazuje się Piazza di Spagna z kościołem Trinità dei Monti, Schodami Hiszpańskimi, obeliskiem przeniesionym z Ogrodów Salustiusza i fontanną w formie tonącej łodzi, z której woda tryska dwoma otworami w dziobie i dwoma w rufie. Monety wrzucane do wody przez pragnących tu powrócić stanowią źródło utrzymania pewnego osobnika, który na charakterystyczny plusk wyrasta jak spod ziemi i zmyślną szufelką na teleskopowym wysięgniku sprawnie wyławia bilon. O tym wynalazcy na pewno nie można powiedzieć, że jest splukany. Z przenośnego straganu pachnie pieczonymi kasztanami, a my czujemy zbiorową ochotę na lody, z konieczności włoskie. Podnosząc sobie poziom cukru, zbliżamy się do kolumny Marka Aureliusza, wzniesionej dla upamiętnienia zwycięstw cesarza nad Markomaniami, Kwadami i, no cóż, Sarmatami. Jeszcze tylko Palazzo Chigi i można znów odechnąć w towarzystwie bóstw morskich, tym razem na znanej ze swych fontann Piazza del Popolo. Elementy wodotrysków przypominają o istnieniu owoców morza, co wzmaga nasz i tak już wzmożony apetyt. Najwyższy czas coś przekąsić i odpocząć od nadmiaru wrażeń, bo ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił...

Na trzeci dzień rzymskich wakacji zaplanowaliśmy zwiedzanie Muzeów Kapitołańskich. Zanim tam dotrzemy, czeka nas wiele innych atrakcji. Przez Piazza della Repubblica idziemy do Term Dioklecjana. Obecnie jest to kościół Santa Maria degli Angeli e dei Martiri. Wewnątrz, mimo odtwarzanej co kilka minut prośby o ciszę w kilku językach, słychać rozmowy zwiedzających. Atmosfera gwaru i leniwego spaceru sprzyja rozmyślaniu o wspaniałości tego obiektu, który w czasach przedchrześcijańskich był miejscem towarzyskich spotkań i dysput filozoficznych, a pewnie też przyjacielskich pogawędek i ploteczek. Godne podziwu są odrzwia świątyni ozdobione rzeźbami przedstawiającymi Ukrzyżowanie oraz Zwiastowanie. Autorstwo Igora Mitoraja, oprócz oczywistego kunsztu artystycznego, stanowi miły polski akcent. A teraz do Palazzo Massimo alle Terme. Przytwierdzone wzdłuż ogrodzenia efektowne plakaty zapraszają do odwiedzenia muzeów. Nas wyretuszowane nowoczesnymi technikami wizerunki rzeźb i malowideł nie muszą zachęcać do zwiedzania, ale już w środku mimo woli bawimy się w wyszukiwanie eksponowanych na zewnątrz plakatowych przedstawień antycznych eksponatów. Jest więc sławne sypialnianie malowidło z parą miłośnicie patrzącą sobie w oczy w zaciszu alkowy, podczas którego oględzin odkrywamy, że oryginał jest dość mały w stosunku do reklamowej reprodukcji,

można rzec miniatura, co nie ujmuje jej czaru, wręcz przeciwnie, zachwyca doborem barw i precyzją malunku. Jest i odpoczywający po walce pięściarz, niezwykle realistyczny i wzruszający, zwłaszcza panie, oglądające zawodnika z bliska i użalające się szeptem na los pięściarza, jakby pragnęły opatrzeć jego krwawiący łuk brwiowy i złamany nos. Uwadze niewiast nie uchodzi przy tym wspaniała budowa ciała niemłodego już, ale wciąż zachowującego formę sportowca. Panowie statecznie milczą, oglądając obiekt z zachowaniem stosownego dystansu. Niespiesznie podążamy Via Nazionale na Kwirynał, a stamtąd na Kapitol. Nie uda nam się, niestety, zobaczyć Wenus Kapitoliińskiej – ma właśnie gościnne występy w National Gallery of Art w Waszyngtonie (wystawa *The Dream of Rome*, 08.06–05.09.2011). Ale zawsze znajdzie się ersatz. Oto tapeta stanowiąca powiększony wizerunek bogini miłości zaprasza na pokrępiący deser i kawę na tarasie, z którego rozciąga się widok na rzymskie wzgórza. Dostrzegamy Watykan; będziemy tam za kilka dni.

Kilka godzin w chłodnym muzeum podczas letnich upałów to jedna z najwspanialszych form spędzania czasu. Ale trzeba ruszać dalej. I znów ten żar lejący się z nieba, i znów pod górę. Kościół Santa Maria d'Aracoeli z prowadzącymi do niego niebotycznymi schodami, stanowi zapewne nie lada wyzwanie dla parafian w podeszłym wieku, choć i niektórzy młodsi zdają się utrudzeni wspinaczką. O wiele łatwiej dotrzeć do Largo Argentina z kościołem św. Stanisława i muzealną Crypta Balbi, skąd udajemy się do kościoła Il Gesù. Wprawdzie niepozorny, ale to pierwowzór architektury barokowej. Z Piazza Navona z kolejnymi znanymi fontannami idziemy na Campo dei Fiori, a następnie Via Giulia prowadzi nas do Palazzo Farnese. O, i tu jest co zwiedzać...

Dzień czwarty. Żeby uporządkować doznania, porzucamy Rzym i wyruszamy do Ostii. Pozostałości antycznego miasteczka portowego pouczają o upływie czasu i dawnym kunszcie architektonicznym, trwając wśród bujnej roślinności, przepysznie kwitnących krzewów i kwiatów, i kuszących zakazanymi owocami drzew – dosłownie zakazanymi, bo na terenie miasta nie wolno niczego kosztować, a nawet zrywać ani zbierać. Nawet w miejscach pozornie wyglądających na zbiorowisko chaszczy natykamy się na niezwykle niespodzianki, jak posążek uroczej boginki na jakimś zrujnowanym piętunku czy mozaika z postaciami męskimi, na której jakiś współczesny dowcipniś nader udatnie dorysował piłkę nożną. Na każdym kroku odkrywamy coś niezwykłego. Chłoniemy te niezwykłości wszystkimi zmysłami (prócz smaku) i masami fotografujemy. Do zmroku jeszcze kilka godzin, a morze w zasięgu wzroku, wyruszamy więc na plażę do Ancjum – niechże pojawi się w naszym opowiadaniu i element ludyczny.

Pomni jeszcze wrażeń z Ostii, piątego dnia wyruszamy na podbój Cerveteri i Tarquinii. Zwiedzania etruskich nekropolii nie może się doczekać zwłaszcza pani dr Ewa Osek – to główny cel jej podróży. Zachwyceni mijanymi krajobrazami i roślinnością wysiadamy... o jedną stację za daleko. Do końca życia będziemy pamiętać nazwę Santa Severa. Przygnębieni wleczemy się do najbliższych zabudowań i z radością od-

krywamy, że jesteśmy w dawnym etruskim porcie Pyrgi. Majestatyczny czarny kot patrzy na nas ciekawie ze szczytu murów, jakby zachęcał do podziwiania krajobrazów. A rzeczywiście jest co podziwiać. I nawet muzea tu mają. Zwiedzamy jedno z nich, muzeum antycznej nawigacji. To wspaniałe miejsce osłodziło nam odczuwaną początkowo gorycz porażki. Okazuje się, że czasem warto zabłądzić.

Po dwudniowych eskapadach powrót na rzymskie ulice. Antyczny Circus Maximus poza nazwą ma niewiele wspólnego z obecnym zrujnowanym Circo Massimo, ale na Awentynie jest już trochę lepiej. Świetnie wypadają Termy Karakalli, największe i najlepiej zachowane ruiny łaźni rzymskich z okresu cesarstwa. Wstępujemy do kościoła Santa Maria in Cosmedin, a stamtąd do San Paulo fuori le Mura. Któż nie zna tej bazyliki, wzniesionej nad grobem apostoła Pawła. Zwiedzając oddychamy atmosferą wielowiekowej historii. Pobliskie muzeum dostarcza nam kolejnych zachwyty. Nie sposób pominąć bazyliki San Giovanni in Laterano, poświęconej św. Janowi Chrzcicielowi. A po wizycie w bazylice Santa Croce in Gerusalemme, udajemy się do San Clemente z przyległą świetnie zaopatrzoną księgarnią. Na jej „zwiedzanie” potrzeba kolejnych kilku godzin, którymi chwilowo nie dysponujemy.

Trafiamy też do kościoła św. Cecylii, gdzie siostry śpiewają nieszpory. Na organach w bocznej nawie, siedząc tyłem do nielicznie zgromadzonych, gra spowita w welony siostra, tajemnicza i niejako bez twarzy, spośród czarnych fałd habitu miga tylko raz po raz smukła alabastrowa dłoń, sprawnym gestem odkładająca na bok kolejne arkusze nut. Niedaleko znajduje się kościół z relikwiami św. Walentego. Już zamknięty. Ale i w Lublinie, w parafii pod wezwaniem Nawrócenia św. Pawła, można przykłęknąć przy relikwiach świętego patrona epileptyków; są złożone w szklanym sarkofagu w jednym z bocznych ołtarzy.

Przedostatni dzień naszego objazdu to dzień muzeów. Upał wprost niemiłosierny, a my delektujemy się sztuką, i to w przyjemnie chłodnych wnętrzach. Po Giancolo i Bibliotekach kolej na bazylikę św. Piotra wraz z muzeum, następnie Watykan. Jako filologowie klasyczni mamy świadomość, że właśnie przebywamy w jedynym miejscu na świecie, gdzie jako język komunikatów podczas korzystania z bankomatu można wybrać łacinę. Oszołomieni wizytą w Muzeach Watykańskich zmierzamy do dawnego Mauzoleum Hadriana, obecnie Castel Sant'Angelo. Idąc do Zamku mostem św. Anioła, słyszymy łagodny szum wiatru i fal Tybru, jak szmer anielskich skrzydeł. Stamtąd docieramy na Zatybrze z jednym z najstarszych kościołów w Rzymie – bazyliką Santa Maria in Trastevere. Na nabożeństwa wzywa wiernych starożytny dzwon. Wprawdzie to już pożegnalny wieczór, ale sił starcza nam jeszcze na Teatr Marcellusa, Synagogę oraz Isola Tiberina o jedynym w swoim rodzaju kształcie wydłużonej łodzi. W starożytności na wyspę wiodły dwa mosty, z których jeden przetrwał do dziś.

Kończy się rzymska przygoda. Ci, którzy nie spakowali się wieczorem, nieco podenerwowani przygotowują bagaż z samego rana. Reisefieber nie przeszkadza jednak pani dr Osek wybrać się do Tarkwinii, o której odwiedzeniu marzyła. Tarkwinia jest zazwyczaj pomijana na trasie wycieczek, a niesłusznie. Wprawdzie osoby, które tam

były, z entuzjazmem opowiadają o cudach Tarkwinii, ale to, co zastaliśmy na miejscu, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Nie do opisania są wrażenia, jakich dostarczają grające całą gamą barw malowidła w etruskich grobowcach i kilkupiętrowe muzeum szczycące się posiadaniem tak wielu i tak wspaniałych eksponatów, że taka np. Villa Giulia się chowa (własne słowa pani dr Osek). Nawet nagła, iście drastyczna zmiana pogody nie zakłóciła tych doznań.

W drodze na lotnisko, kiedy zastanawialiśmy się nerwowo, czy strajkująca kolej pozwoli nam zdążyć na czas, pani dr Osek wciąż z rozmarzeniem powtarzała: „Ach, Tarkwinia w strugach deszczu...” Będziemy musieli tam powrócić. A i w samym Rzymie jest jeszcze bez liku miejsc, które musimy zobaczyć.



Ostia, mariaż starożytności ze współczesnością. Fot. Maciej Jońca